ZA WSPANIAŁOŚCIAMI WERSALU KRYJE SIĘ NĘDZA TYCH, KTÓRZY ŻYJĄ W CIENIU KRÓLA SŁOŃCE

KRÓL CIENI

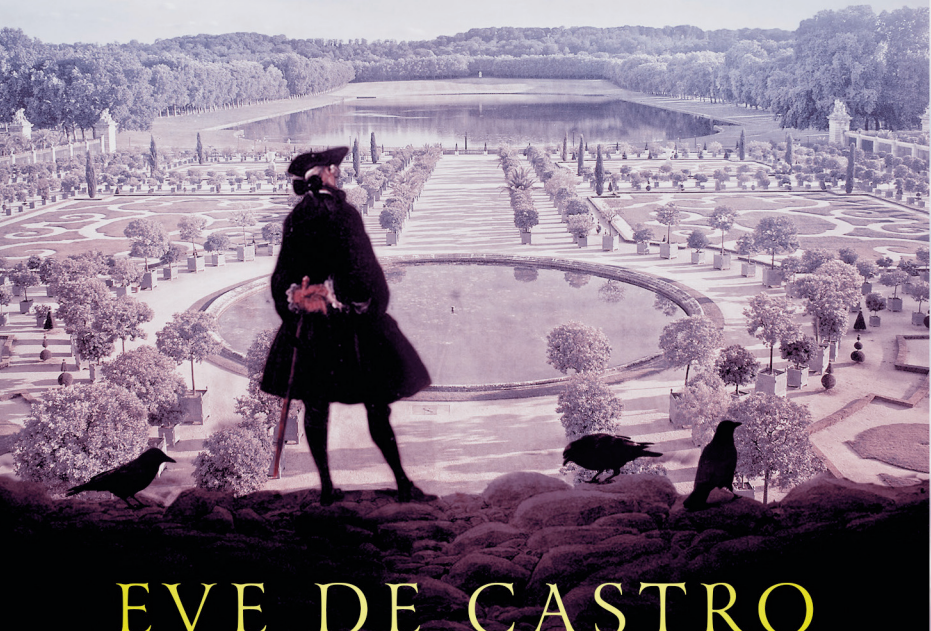

EVE DE CASTRO

Od tyłu mężczyzna nie wyglądał imponująco. Wzrostu mniej niż średniego, był niewiele tęższy niż dziewczynka. Ubranie w szarym, mysim kolorze, z ciężkiego zniszczonego sukna, popielate pończochy, łatane w wielu miejscach. Na nogach miał bardzo stare buty, o wiele za duże, wypchane świeżą słomą.

Mężczyzna ten, wyglądający z okna swojego pokoju na dziedziniec, chciał, by nazywać go Ange Lacarpe. Nikt nie wiedział, czy to jego prawdziwe nazwisko, ludzie z wioski zgodnie mówili tylko, że miał anielską cierpliwość i nie był bardziej rozmowny niż ryba. Leczył wszystkie dzieci, te małe i te większe, a także, w razie potrzeby, ich rodziców, bo nastały ciężkie czasy, a prawo na to pozwalało. Mężczyzn i matrony, młodych i starych, nawet biednych, tych, którym nie pozostawało nic oprócz rozpaczy i łez, nieprzydatnych nikomu.

Ange Lacarpe nie zawsze potrafił wyleczyć, ale przynajmniej łagodził cierpienia.

Jedynym człowiekiem, któremu nie zdołał przynieść ulgi, był jego pan, który mieszkał w zamku.

Ten, który właśnie skonał.

Dzwony opactwa biły od świtu. Mieszkańcy wioski cięli czarne prześcieradła, by zawiesić je w oknach. Zamierzali nosić żałobę nie przez szacunek dla zmarłego, bo nie miał on w sobie nic godnego szacunku, lecz przez wzgląd na jego

syna, który zarówno wczoraj, jak i dzisiaj nie zasługiwał na los, jaki zgotowało mu życie.

Nowy pan.

Ten, który kazał się nazywać Ange Lacarpe, dobrze znał nowego pana. Znał go wystarczająco, żeby zwracać się do niego „Synu" albo „Charles", na co nie pozwalał sobie nikt, nawet Fermat, jego mamka. Między tym, który leczył małe dzieci, i tym chłopcem, który stał się już mężczyzną, istniała więź, jaką ludzie z wioski podziwiali i jakiej mu zazdrościli.

O tę więź bardzo zazdrosny był również pan, który zmarł ostatniej nocy. Zwłaszcza pod koniec życia.

Człowiek ubrany na szaro otworzył okno. Rama okienna stawiała opór — od wilgoci napęczniało drewno. Trzeba by je zheblować i na nowo pomalować. Ange Lacarpe nie będzie miał na to czasu.

Było ciepło, różowe wieczorne niebo przypominało świt.

Ange Lacarpe zdjął perukę, tak samo szarą, potargał krótkie, szorstkie włosy. Wdychał powietrze, zamykając oczy.

Już od trzynastu lat czekał na ten świt.

Pod oknem stał kufer. Niezbyt duży, z drewna dębowego, ze skomplikowanym zamkiem. Ange Lacarpe klęknął, wyjął z kieszeni klucz, przekręcił go w zamku, podniósł wieko kufra.

To, co znajdowało się w kufrze, nie uległo zniszczeniu albo uległo mu w bardzo niewielkim stopniu. Przesunął woreczki ułożone w warstwach grubego jedwabiu, niektóre otrzepał. Zostawił kufer otwarty, żeby go przewietrzyć.

Po wyjściu młodego pana zamknął drzwi swojego pokoju na klucz i przyciął dwa nowe pióra. Nie spodziewał się nikogo i nikt nie mógł go zaskoczyć. Miał dla siebie całą noc.

Przeciągnął dłońmi po twarzy. Zwilżył spirytusem szmatkę i wytarł nią starannie twarz. Do tego, co zamierzał teraz zrobić, musiał mieć czystą duszę i czyste ciało.

Nadeszła pora.

Dla pana hrabiego de Cholaya,
do czytania przed położeniem się do łóżka,
przed zażyciem kropli.

Panie!

Od trzynastu lat widujesz mnie codziennie, ale mimo to nigdy mnie naprawdę nie zobaczyłeś. Z przyzwyczajenia wzywasz mnie, mówisz, że mnie cenisz, myślisz, że mnie znasz i kochasz. Ja patrzę na ciebie i ponieważ zabroniłem sobie płakać, uśmiecham się.

Jesteś, panie, pewny siebie i tym samym pewny mnie.

Wiedz, że jest tyle sposobów maskowania prawdy, ile sposobów na życie. Pod maską szczerości, nie wypieram się, okłamywałem cię, panie, za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, i dziś rano także kłamałem, obiecując, że jutro przyjdę. Omal się nie zdradziłem, kiedy odwróciłeś się na progu mojego pokoju i powiedziałeś: „Nie wiem, co by się ze mną stało, jeślibyś mnie opuścił". Zadrżałem, nie mogąc prosić cię o przebaczenie. Milczałem, żebyś mógł odejść pierwszy. Przysiągłem sobie, że tak właśnie się to odbędzie. Teraz nie mam już żadnego wyboru i muszę iść dalej aż do końca.

Musisz, Charles, nauczyć się obchodzić beze mnie. Tak, wyjeżdżam. Wyjeżdżam na długo i daleko. Nie mogę cię zabrać ze sobą, ale łudzę się nadzieją, że zechcesz do mnie dołączyć. Ludzie i rozsądek będą się starali wyperswadować ci to, ale ja wierzę, że więź, która między nami powstała, nie

jest z tych, które mogą być zniweczone z powodu nieobecności. Będziesz mnie, panie, przeklinał, ale wrócisz do mnie. Pewnego dnia. Można się oswoić z mijającym czasem, poczuciem braku, żalem, wiem to lepiej niż ktokolwiek inny, a słowa, które ci zostawiam, doprowadzą cię do mnie.

Idź za moim głosem.

Tam, gdzie pragnę cię zaprowadzić, nie dojdziesz w ciągu jednej godziny, a droga, na której zaznałem tylu nieszczęść, nie będzie dla ciebie łatwa. Nie wypuszczaj mojej ręki, nie krzycz, bo nikt cię nie usłyszy, nie pal tych kartek, dopóki nie przeczytasz ostatniej. Tego, czego doznałem i co zrobiłem, nie wstydzę się i nie żałuję. Wyjawienie tobie mojej niezwykłej prawdy nadaje wreszcie sens losowi, na jaki skazał mnie król Francji.

Każ sobie przynieść zapas polan, odeślij służącego, usiądź wygodnie. Niewiele będziesz spał tej nocy i jeszcze mniej w następne. Nigdy nie otarłeś się o cienie, które za moment wkroczą w twoje życie, ledwie domyślałeś się ich istnienia. Mimo to będą ci bliskie, a gdy skończysz czytać moje słowa, staną się częścią ciebie.

Oparłeś nogi na zielonym taborecie?

To dobrze.

Przysuń bliżej świecę i otwórz szeroko oczy.

✷

Pierwszą istotą, jaką powinieneś zobaczyć, nie jest człowiek, lecz fretka. Tak, fretka. Ta, o której mówię, była tłuściutka, niezbyt duża, raczej ruda niż szara i w tym momencie piszczała i skomliła ze strachu w dymie, który gęstniał z każdą sekundą.

Czy widzisz ją, panie?

Na łebku ma jasną plamę w kształcie krzyża. Uczepiła się występu okna, łamiąc pazurki na złączach witraża, pod nią rozpalona boazeria wypluwa obłoki czarnej sadzy, na dworze panują ciemności i huczy wiatr, wewnątrz syczy i szaleje pożar. Fretka, niemal upieczona z gorąca, rozluźni zaraz

uchwyt pazurków... Czyjaś ręka chwyta ją za kark, wyrywa z buchającego żaru i chowa w dobrze jej znanej kieszeni. Słyszy szept: „Już dobrze, Jezus. Wszystko w porządku". Torba, którą nosi na ramieniu pan, przygniata fretkę, ale ogień jej nie dosięgnął i nie dosięgnie. Uspokojone zwierzę pojękuje i zasypia.

Zbawca fretki nazywa się Batiste. Na razie nie miał szczęścia być ci przedstawionym, więc nie może cię pozdrowić. Zapewniam, że w przeciwnym wypadku zrobiłby to z uniesieniem, które by cię zaskoczyło. Batiste lubił zaskakiwać, nigdy nie robił tego, czego się od niego oczekiwało.

Idź za nim, panie.

Człowiek, który w środku nocy szedł szybkim krokiem z ciężką torbą na ramieniu, najwyraźniej unikał spotkania z ludźmi. Przecinając Bièvre przez most de la Croix-Clamart i Sekwanę przez Pont-Neuf, Batiste zużył dwie godziny na pokonanie bagna, by przejść od przedmieścia Saint-Marceau aż na plac de Grève. Bazar Saint-Esprit otwierał się o świcie, więc jeśli mężczyzna chciał zakończyć swoją sprawę i nie być widzianym przez handlarki, musiał się pospieszyć. Handlarki starzyzną to niebezpieczna rasa. Rozbierały i ubierały przechodniów, których wyłapywały na chodniku, stąd dużo wiedziały o naturze człowieka, a Batiste nie chciał, by się czegoś domyśliły. Znały go, często bowiem czyścił dla nich z brudu i ciął ubrania, aby mogły je odsprzedawać po kawałku. Niektóre z nich polubiły go, niejedna proponowała mu łóżko i chleb u siebie w domu, ale kobiety bardziej boją się Boga, niż lubią przyjemności, i gdyby wiedziały, co zrobił, wydałyby go. Okolica Hôtel de Ville była pusta, mimo to Batiste przezornie trzymał się blisko ścian. Po stronie szpitala Saint-Esprit na wąskiej i długiej rue Tirechape stało trzydzieści osiem dużych domów różnej wysokości, z niskimi bramami i przybudówkami, które są jak brodawki na środku twarzy. Batiste wślizgnął się pod szyld Panier Fleuri, który wskazywał przejście do ślepej uliczki, de la Bourdonnais, przez pasaż handlarza win. Człowiek, którego szukał, skulony na dnie

pękniętej beczki pod stosem przykrywających go łachmanów, donośnie chrapał i poświstywał niczym płomienie pożaru w kościele. Kiedy jednak Batiste nachylił się nad nim, otworzył szybko oczy i kiwnął głową z ugrzecznioną miną.

— Niech niebo ma cię w swojej opiece, chłopcze, wyglądasz jak ktoś, kto właśnie wykopał skarb.

Batiste postawił swoją ciężką torbę na krawędzi beczki.

— Chcesz zobaczyć?

— Bogactwo nieuczciwie zdobyte nigdy nie przynosi korzyści...

Batiste wzruszył ramionami.

— Były ksiądz udziela mi lekcji?

Mężczyzna przeciągnął się i podniósł, poprawił nonszalancko to, co mogło kiedyś być sutanną, odkorkował tykwę i wypił solidny łyk. Był wysoki, chudy jak patyk, z krzywymi ustami pozbawionymi warg, jakby na ogolonej głowie miał czapkę z ciemnej wełny. Batiste rozwiązał sznurek torby i wydobył z niej ornat z kołnierzem i rękawami obszytymi srebrnym galonem. Chudzielec obmacał tkaninę zadziwiająco delikatną i białą dłonią. Na palcu wskazującym nosił pierścień biskupa. Ponad ramieniem Batiste'a lustrował spojrzeniem uliczkę, którą zaczynało rozjaśniać mleczne światło świtu.

— Skąd to masz?

— Wstęp do spadku.

Mężczyzna się uśmiechnął. Miał wszystkie zęby, co przy ukończonych trzydziestu latach zakrawało na cud. Wsunął dziewczęcą dłoń do torby i wyciągnął z niej jedną kapę z satyny z wyhaftowanym złotą nicią ogromnym krzyżem i drugą z czerwonego weluru, nakrycie kielicha z wyszytym srebrną nicią barankiem paschalnym, dwie stuły ze złotej tkaniny, dwa manipularze, karbowaną sakiewkę oraz trzy ciężkie chorągwie: jedną z fioletowego weluru, ozdobioną frędzlami, z Dziewicą przedstawioną w pełnym majestacie, drugą przedstawiającą świętego Marcelego, mającego pod stopami dach swego opactwa, i trzecią, ukazującą męczeństwo świętego Bartłomieja, patrona bartników, i świętego Kryspina,

patrona szewców.

— Niełatwe do upłynnienia... — zauważył i się skrzywił.

Batiste złożył na powrót ozdobne tkaniny.

— Pycha i chciwość są znacznie lepiej widoczne na prowincji niż w Paryżu. Za przedmieściami żaden opat nie zainteresuje się pochodzeniem tego, czym mógłby ozdobić swoją kolegiatę, jeśli zaproponuje mu się przystępną cenę.

Chudzielec podrapał się po żebrach, potem po szyi. Pchły. Świerzb. Jego łachmany były tak sztywne z brudu, że mogłyby stać bez niego, ale twarz miał prawie czystą, a sposób bycia oraz ton głosu człowieka wykształconego, nie włóczęgi.

— Czasy się zmieniają, młody przyjacielu. Nowe rządy, nowa policja. Z takim towarem ryzykuję galery.

— Mów, ile dasz, albo pójdę do kogoś innego.

Chudzielec zdjął czapkę i powolnym ruchem pogłaskał nieobecne włosy. Znowu się uśmiechnął. Dawniej z pewnością słyszał komplementy na temat swoich zębów, nadal lubił je pokazywać.

— Nie ma nikogo innego, inaczej nie przyszedłbyś do mnie.

— Przyszedłem do ciebie, bo wiem, że pomimo popełnionych zbrodni nadal masz znajomości we wszystkich klasztorach Francji. Wiem również, że już dnieje. Jeśli się nie pospieszysz, stracisz doskonały interes.

Chudzielec wyciągnął szyję i prychnął.

— Ten brudas od sprzedawcy podłego wińska właśnie rozpalił ogień. Jeśli jego patron złapie cię z tym łupem, to ty pójdziesz na galery. Bardzo bym się zmartwił, bo pięknie gadasz, a więc masz przed sobą przyszłość... Pięć ludwików.

— Pięć ludwików? Gdybyś sprzedał tylko te hafty, dostałbyś ze dwadzieścia ludwików!

— Pięć ludwików, to znaczy pięćdziesiąt liwrów. Bierz i klękaj, bym mógł cię pobłogosławić.

Batiste pokazał mu palec w wulgarnym geście.

— Dziesięć. A w dniu, w którym udzieli mi błogosławieństwa człowiek Kościoła, będę martwy.

Chudzielec kiwnął głową ze zmartwioną miną.

— Jak sobie życzysz. Ale wystarczy, że zawołam, a dozorca odetnie ci drogę przez zaułek. Znajdziesz się w pułapce jak szczur.

Batiste wrzucił byle jak zawartość torby do beczki i chwycił chudzielca za gardło. Podobnie jak kilka godzin wcześniej, kiedy podłożył ogień w zakrystii, nie czuł ani gniewu, ani nienawiści, ani strachu. Robił, co musiał, to wszystko. Nachylił się nad byłym księdzem i głosem, jakim zwykle przekonywał dziewczynę, by zadarła spódnicę, powiedział mu do ucha:

— To ja zaraz krzyknę. Zawołam: „Łapać złodzieja! Święte przedmioty z kościoła Saint-Marcel są tutaj, łajdak, którego trzymam za gardło, to infułat pederasta, skazany na śmierć za to, że współżył ze swoimi nowicjuszami!". Zapewniam, że umiem głośno krzyczeć, Wasza Ekscelencjo, i jeszcze lepiej przekonywać. Trzydzieści ludwików. Natychmiast.

Chudzielec, chrypiąc, złożył dłonie na znak, że dobili targu. Batiste puścił go. Były ksiądz pogrzebał w fałdach pasa, którym był obwiązany od pachwiny do mostka, i wyciągnął wytartą grubą sakiewkę. Odliczając srebrne monety, zerkał cały czas kątem oka na Batiste'a. Chłopak nie był ani wysoki, ani niski, miał szeroki tors, proste nogi, wysokie czoło, krótki nos i gęstwinę brązowych kręconych włosów, nigdy nieczesanych, ani tym bardziej niepomadowanych, podbródek świadczący o uporze, delikatne usta i dziwnie starcze spojrzenie niepasujące do tej dziecinnej postaci.

— Ile masz lat? Od dawna widuję cię uwieszonego u spódnic handlarek.

— Za stary jestem dla ciebie.

— Umiesz czytać?

— Nikt nie umie czytać.

— Mógłbym cię nauczyć. Czytać, pisać, a nawet trochę łaciny.

— Tego, co mi potrzeba, uczę się sam.

— W zamian oddawałbyś inne usługi Kościołowi tego królestwa.

— Nie jestem złodziejem.

— Tak jak ja nie jestem zabójcą, to się rozumie samo przez się. — Chudzielec podniósł palec w uroczystym geście. — Bóg jest wszechwiedzący, ale... niektóre szczegóły mu umykają. Każdy ma swój rozum, prawda?

Batiste schował pieniądze, nie przeliczając ich. Brzęk monet obudził fretkę, która jednym susem wskoczyła na ramię swojego pana. W półmroku jej źrenice błyszczały niczym diamenty. Chudzielec się cofnął.

— Ciągle masz to paskudne stworzenie?

— Bądź grzeczny, bo kiedy ktoś nie okazuje szacunku Jezusowi, on zachowuje się jak ja — gryzie.

Chudzielec zrobił szybko znak krzyża.

— Ma oczy diabła.

Batiste spokojnie zwinął pustą torbę i obwiązał ją wokół brzucha.

— Bo to jest diabeł.

✷

Czy boisz się, panie, diabła? Nieraz słyszałem, jak twój kapelan opowiadał ci o występkach Lucyfera i niezliczonych maskach, jakie przybiera ten upadły anioł, aby nas omamić. Przeciwnie niż Kościół, który chce narzucać nam swoje poglądy i kierować naszymi działaniami, sądzę, że Zło nie mieści się ani w piekle, ani w protestantach, ani między udami kobiet, ale w każdym z nas. Jego oblicze to nasza twarz z cienia, ta, którą ukrywamy przed innymi, a zwłaszcza przed sobą. Wbrew temu, czego cię uczono, Bóg, bez względu na to, czy człowiek modli się do niego, czy nie, nie czyni go całkowicie dobrym lub całkowicie złym. Człowiek jest równocześnie dobry i zły, w zależności od tego, jaka jest jego wiara. Odkąd przebywam w twoich posiadłościach, miałem okazję obserwować wiele dzieci i mogę cię zapewnić, że one wszystkie nie rodzą się tak samo podatne na Dobro, Piękno, Szlachetność. Tym, których łagodny charakter i zamiłowanie do czystości predysponowałyby do czynienia dobra drugiemu, niepotrzebna jest interwencja Szatana, żeby je zdeprawować;

wystarczy, że będą przebywać w towarzystwie im podobnych. Serce ludzi jest jak kocioł czarownicy. Wiek, w którym żyjemy, ukrywa brudy pod koronkami, a zepsucie duszy pod pudrem, płaszczeniem się i fałszywą skruchą. Znam kapłanów nurzających się w zbrodni, brutali, którzy biją na śmierć swoje żony, możnych, którzy sprzedają swoje córki potworom, wielkich panów, którzy torturują dzieci; słyszałem o książętach, którzy strzelają do ludzi jak do królików, i o królach, którzy zamiast dawać przykład cnoty, gwałcą, kłamią, zdradzają.

Jak ich poznałem i kim jestem, żeby tak o nich mówić?

Jestem ofiarą. Jestem świadkiem.

Myślisz, że zaczerniam obraz, że bardzo przesadzam?

Każ się zawieźć na rue de Montpensier, pod arkady Palais-Royal, tam właśnie rezyduje dziś biskup molestujący swoich nowicjuszy. Dzięki podejrzanym transakcjom łajdak ten wydostał się ze swojej beczki i na antresoli budynku pod numerem 16 ma sklepik, w którym nie wystawia się towarów na pokaz, ale interes prosperuje. Rozpoznałbyś go, panie, po jego zębach i pierścieniu. Powiedz mu, że przychodzisz od Batiste'a Le Jongleura. Jeśli ten drań nie zblednie, nie będzie się rozglądał, którymi by tu drzwiami uciec, będziesz miał prawo zwątpić w moje słowa.

✷

Tymczasem wróćmy do Jezusa. Ta fretka nie była zwykłym zwierzęciem. Jej pan przyzwyczaił ją do tego, by karmiła się mlekiem i krwią. Ssała sutki kobiet i przepadała za pijawkami. Za każdym razem, kiedy matka Batiste'a wracała z bagien z koszem pełnym odrażającego błocka, fretka, popiskując, obwąchiwała jej kostki u nóg, dopóki nie dostała od niej choćby jednej pijawki. Madeleine Le Jongleur była jedną z najlepszych dostarczycielek pijawek na przedmieściu Saint-Marceau. Od wiosny do końca lata, zwłaszcza kiedy było gorąco od samego rana, miała za co żywić rodzinę chlebem z mąki żytniej lub jęczmiennej, kaszą, bobem, słoniną lub suszonymi śledziami, a co więcej, udawało jej się

zaoszczędzić trochę pieniędzy na posag dla Blanche, jej najmłodszej, dziewięcioletniej córeczki, która dzięki temu, jak matka miała nadzieję, zostanie przyjęta do klasztoru. Nie do takiego domu hańby i łez, jak ten des Gobelins, w którym dekretem królewskim zamykano naganiaczki prostytutek, sieroty, żebraczki i panny z dzieckiem, lecz do świętego klasztoru dla uczciwych dziewcząt.

Madeleine Le Jongleur marzyła o takim klasztorze. Kiedy wkładała stare buciory, kiedy owijała łydki szmatami, by muchy nie oblepiały poranionych miejsc, kiedy wchodziła do zielonej wody, uważając, żeby nie poślizgnąć się na ostrych trawach, kiedy brnęła przez błoto i trzciny, odmawiając różaniec, by odliczać czas, myślała o klasztorze. O wielkim domu z kamienia, z arkadami, basenami, ogrodami i kaplicą, gdzie jej córeczka będzie się modlić, aby odkupić grzechy swojej rodziny. Przede wszystkim grzechy samej Madeleine, która już nie miała odwagi iść do spowiedzi, bo byłoby za dużo do opowiadania. Następnie grzechy tych mężczyzn, którzy zrobili z niej taką, jaką się stała, poczynając od ojców jej trojga dzieci, łącznie z ojcem Blanche, którego imienia nigdy nawet nie poznała i którego rysy twarzy zapomniała. Wreszcie grzechy Batiste'a, którego wychowywała tak samo surowo jak Pierre'a, swojego starszego syna, a który mimo to schodził na złą drogę, Batiste'a, który nie szanował niczego i nikogo, Batiste'a, który kłamał, oszukiwał w grach hazardowych i uwodził dziewczyny, Batiste'a, który nie chciał towarzyszyć jej na mszy, Batiste'a, który nadał swojej fretce imię, jakie nosił Chrystus. Imię Jezus dla takiego zwierzęcia — co za bluźnierstwo. Między zdrowaśkami Madeleine przyklękała, moczyła się w ten sposób aż po uda, po czym szeptała: „Wybacz, Panie, mojemu synowi, on nie wie, co czyni". Nigdy nie zostawała w wodzie dłużej niż pół nowenny. Gdy trwało to krócej, pijawki nie zdążyły się w nią wpić. A gdy dłużej, pijawki ssały tak, że nie mogła tego wytrzymać i mdlała. Cała sztuka w tym zawodzie polegała na właściwej ocenie granic czasu. Chodziło o to, żeby zdobyć łup, mając

za przynętę tylko własne ciało, i nie zapominać, że chwilę później można samej stać się łupem. Gruba Mathilde, żona Jeannota le Potagera, zanurzyła się w wodzie w sierpniu, rzeka była wtedy bardzo płytka, ale biedaczka upadła twarzą do dołu i zanim ją wyciągnięto, żarłoczne stworzenia wyssały z niej ostatnią kroplę krwi. Pokój jej duszy.

Są dwa gatunki pijawek. Grube, czarne i lśniące sprzedawało się u aptekarza dwa razy drożej niż małe, brązowe. Madeleine znała ich kryjówki i ich obyczaje, ale nie panowała nad kaprysami nieba. Kiedy padał deszcz, kiedy zbierało się na burzę, kiedy od upału róże więdły, czarne pijawki nie chciały się pokazać. Madeleine mogła brodzić w błocie całe godziny, a wypływały tylko dwie, trzy. Pijawki brązowe były tańsze, bo nie chciały ich wielkie damy. Wielkie damy, które mieszkały w rezydencjach z rzeźbionymi przedsionkami, gdzie na dziedzińcach stały ich karety, miały jasno określone poglądy. Ich zdaniem czarne pijawki ssały mocniej niż inne i robiły się przez to grubsze i cięższe. Nie ma w tym ani krzty prawdy. Małe pijawki są bardziej żarłoczne i o wiele dłużej żyją. Piękne damy uważały, że takie pijawki nadają się tylko dla mieszczek i kobiet z ludu, a przecież wszyscy wiedzą, że mieszczki pragną naśladować sposób bycia szlachty i że przekupki handlujące kapeluszami czy andrutami nie mają czym zapłacić za pijawki. Jedna dobra pijawka daje taki sam efekt jak upuszczenie krwi, z tym że kuracja z użyciem pijawek może odbywać się w kilku etapach. Ilość krwi pobranej przez pijawkę jest mniejsza niż przy użyciu lancetu, chory czuje się po tym odświeżony, jak nowo narodzony. Kiedy brakowało pijawek, aptekarze posiadający okazałe sklepy nie mogli zadowolić będących wówczas w modzie lekarzy, a ci z kolei nie mieli jak leczyć swoich kapryśnych pacjentek.

Jeśli Madeleine nie będzie miała pijawek do sprzedania, będzie musiała sprzedawać samą siebie. Robiła to już przedtem w zamian za obietnicę posady i tym sposobem zyskała dwóch synów oraz córkę. Ale nigdy za chleb lub pieniądze. Madeleine była grzesznicą, nie dziwką. Kiedy wychodziła z wody z

dziesięcioma brązowymi pijawkami pod spódnicą, bez ani jednej czarnej, wkładała połów do kosza, nacierała opuchłe nogi spirytusem i udawała się do rzeźni. Rzeźnie można znaleźć po dwóch stronach Sekwany, ale ona wolała tę, która mieści się przy Salpêtrière, blisko dzielnicy des Gobelins, bo było tam całe mnóstwo żywych zwierząt i z łatwością mogła dokonać swojego przestępstwa. Nie pomylmy się jednak, Madeleine nie zamierzała kraść mięsa ani flaków, ani nawet lichych odpadów. Kraść coś do jedzenia to jak odebrać od ust chleb komuś drugiemu. W hierarchii grzechów taka kradzież zdaniem Madeleine była o wiele gorsza niż złość lub przepych. Ona przychodziła tu po krew. Nie dla siebie samej, lecz dla swoich pijawek. Pijawka przystawiona do zadu krowy robi się dwa razy grubsza w czasie krótszym, niż tego wymaga odmówienie *Confiteor*. Potem wystarczy zanurzyć ją w farbie i farsa gotowa — zamiast dziesięciu małych brązowych pijawek ma się dziesięć grubych czarnych, za które aptekarz płacił najwyższą cenę. Takim oszukiwaniem Madeleine ryzykowała utratę dobrej opinii, bo jeśliby to zostało odkryte, otrzymałaby zakaz wykonywania zawodu. Dlatego nigdy nie ryzykowała więcej niż tylko raz w sezonie i nigdy z tym samym kupcem. Tymczasem od świętego Jana w roku 1665 była w rzeźni już dwa razy i chociaż spędzała połowę dnia w Sekwanie, a drugą w bagnach Bièvre, dostarczyła tylko uncję czarnych pijawek. Jedną uncję dobrych pijawek latem sprzedawało się za dwanaście sou, za czterdzieści do pięćdziesięciu zimą, a żeby utrzymać czteroosobową rodzinę, potrzeba pięćdziesięciu sou dziennie, to znaczy prawie trzech liwrów.

Pierre był dobrym synem. Silny, uczciwy, wytrzymały na trudy, pełen szacunku, ale murarz, u którego uczył się tego fachu, nie płacił mu pensji. Batiste mógłby przynosić pieniądze, jest zmyślny jak jego fretka, ale chwytanie się wszystkiego nie jest zawodem. Wprawdzie mówiono, że jej syn ma talent, ale ten talent wcale im nie pomagał w kłopotach. Niedawno sprzedała swój kociołek Jeannotowi le Potagerowi, wdowcowi,

za czterdzieści sou, ale pieniądze rozeszły się bardzo szybko. Z rozpaczą w sercu postanowiła teraz sięgnąć do oszczędności uciułanych dla Blanche. Posag. Klasztor. Wykup. Z każdym dniem miała wrażenie, że raj coraz bardziej się oddala, ale nie uważała, że Bóg ją opuścił. Za każdym razem, gdy czuła się zgubiona, gdy miała jakieś kłopoty, które udawało się jakoś pokonać, odnosiła wrażenie, że przesuwały się one niczym paciorki różańca, a to znaczy, że Bóg przyszedł jej z pomocą.

Jak wszyscy ludzie, a przynajmniej ci, których znała, pracowała, odkąd potrafiła zawiązać fartuch i czepek. W wieku pięciu lat zbierała liście. W wieku dziesięciu lat pieliła grządki i czyściła kanały ze szlamu. Następnie sprzedawała zioła lecznicze. Jeden z jej klientów, którego regularnie zaopatrywała w szałwię i koper, zaproponował, że weźmie ją do siebie na próbę, by pomogła jego żonie, która z powodu choroby była przykuta do łóżka. A tak naprawdę chodziło o niego samego. Ten drań tak się nią zajął, że zanim zdążyła zaprotestować, była już w ciąży. Przyrzekł, że zatrzyma ją u siebie i zapewni utrzymanie jej i dziecku. Kiedy jednak nie udawało się już przed żoną ukryć jej wielkiego brzucha, Madeleine znalazła się na bruku. Rodziła w stajni i synkowi dała imię Pierre, co znaczy „kamień", bo ten, który go spłodził, był mistrzem murarskim. Wtedy to Bóg, ujrzawszy ją pozbawioną wszystkiego, przemówił do niej po raz pierwszy: „Twoje maleństwo je z apetytem, ale widzisz, że zostaje ci mleko". Powiedział: „Jesteś głodna, choć również silna i czysta". Dodał: „Śmierdzisz końską mierzwą, zauważ jednak, że twoja skóra jest delikatna, a kiedy ją skaleczysz, płynie piękna czerwona krew". Madeleine była naiwna, ale nie głupia. Umyła się w poidle i udała się do szpitala, gdzie zaproponowała swoje usługi jako mamka. Spędziła kilka wyczerpujących, ale spokojnych lat, karmiąc swojego synka i wszystkie sieroty, które benedyktynki wkładały w jej ramiona. Widząc, że była zdrowa i dobrze się prowadziła, proboszcz z parafii polecił ją pobożnej rodzinie, która wiodła spokojne życie. Madeleine odstawiła od piersi małego Pierre'a i bez

trudu wykarmiła bliźniaki swojej pani. Jadała przy stole z domownikami, sypiała w prawdziwym łóżku i prawie nigdy nie musiała wychodzić do spowiedzi, ponieważ ów ksiądz, który był krewnym jej państwa, przybywał tu raz w tygodniu na kolację. Ten dobry pasterz wielce interesował się zbawieniem jej duszy. Również jej pełnymi piersiami, a także pieprzykami na wewnętrznej stronie prawego uda. Udzielając jej rozgrzeszenia w tak szczególny sposób, spłodził Batiste'a. Urodził się on miesiąc przed terminem na posadzce zakrystii, gdzie Madeleine przyszła poinformować wielebnego proboszcza, że dzięki niemu miłość chrześcijańska tak się ucieleśniła, że wkrótce da mu spadkobiercę. Obrzucona obelgami, spoliczkowana przez świętego człowieka, który pragnął pozostać ojcem wyłącznie swoich owieczek, Madeleine otarła się z krwi, owinęła noworodka w komżę i uciekła, ukrywając łzy przed małym Pierre'em. Nie mając odwagi wrócić do swoich chlebodawców, przebywała to tu, to tam, ofiarowując swoje mleko i w miarę możliwości nic więcej w zamian za trochę jedzenia i kąt przy palenisku dla niej i dla jej dzieci.

Nazywano ją Cycek. To przezwisko pasowało do niej, nosiła je z humorem, ale narodziny Blanche wyjałowiły jej piersi, a ponieważ ani murarz, ani ksiądz nie mieli zamiaru wesprzeć jej w potrzebie, po raz drugi zwróciła się do Boga. I to On za pośrednictwem pewnego aptekarza podsunął jej pomysł z pijawkami. Nie wiedziała nic o tym zawodzie, ale nie trzeba było długiej nauki. Wystarczyło pozwolić, by pijawki się przyssały do ciała, cięcia na skórze smarowało się potem gęsim tłuszczem. Po takiej pracy czuła się jak opróżniony bukłak. Błogosławiła niebo, że wyposażyło ją w ciało z wieloma dającymi się sprzedać płynami. By nie osierocić swoich dzieci, zanim przystąpiła do wykonywania zawodu, nauczyła się pływać. Madeleine nigdy się nie skarżyła, nigdy nie wyciągała ręki do nikogo. Kiedy Pierre powiedział, że może pożyczyć kilka ludwików od murarza, który go zatrudniał, z miejsca odmówiła i zrobiłaby to samo, gdyby Batiste

zaproponował, że uda się po pieniądze do swojego ojca, który był teraz przeorem w pięknym opactwie. Batiste zresztą niczego takiego nigdy nie zaproponował. Jemu zależało jedynie na schadzkach z frywolnymi dziewczynami i na swobodzie; chciał robić to, na co przyszła mu ochota. Ten chłopak miał pustkę w głowie i nikim się nie przejmował. Oby Bóg okazał mu miłosierdzie i ulitował się nad nim...

✷

Madeleine, klęcząc na podłodze swojej popadającej w ruinę, krytej słomą chaty, przystępowała do odmówienia czwartej nowenny, kiedy jej młodszy syn otworzył drzwi, które nie były drzwiami w prawdziwym tego słowa znaczeniu — zastępowała je zwykła słomiana mata, odsuwana przy wychodzeniu i wchodzeniu. Bez słowa położył na spódnicy matki stos srebrnych monet.

— Dwieście liwrów. Dzięki tym pieniądzom będziesz mogła spłacić nasze długi, kupić wózek i wszystko, co potrzeba.

Madeleine popatrzyła na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

— Wózek? Na co mi wózek?

— Załadujesz do niego nasze rzeczy. Stąd do Wersalu jest trzydzieści pięć mil. Nie będziemy targać kufra i słomianych mat na plecach.

— Do Wersalu? A co takiego jest w Wersalu?

— Pan Colbert rekrutuje ludzi do pracy na rachunek króla. Potrzebują tam wielu rąk do pracy, wszystkich zawodów. Pierre i ja zatrudnimy się na budowie, mieszkać można w parku przy pałacu albo gdzieś obok, nie wszystko zrozumiałem. Blanche i ty...

— Skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł?

— Widziałem ogłoszenia i słyszałem, co krzyczał herold.

Batiste przykucnął przed matką.

— Chcę, żebyś zerwała z pijawkami. Te obrzydlistwa zniszczą ci skórę, a i tak zdychamy z głodu.

Madeleine wzruszyła ramionami.

— Nie miej żalu, ale nie podejmę takiej decyzji sama, muszę to uzgodnić z Pierre'em.

Batiste uśmiechnął się.

— Pierre się zgadza. Jego majster da mu list polecający do pana Antoine'a Bergerona, który jest mistrzem murarskim królewskich budowli.

Madeleine spojrzała mu prosto w oczy.

— Jak zdobyłeś te pieniądze?

Batiste wytrzymał spojrzenie matki. W promieniach porannego słońca jego oczy miały taki sam kolor jak niebo podczas burzy.

— To, co zrobiłem, żeby je zdobyć, powinienem był zrobić już dawno temu.

Madeleine chwyciła go za ramiona.

— Coś ty znowu wymyślił, nicponiu?

Batiste uwolnił się z jej uchwytu i wyprostował. Ze spokojem poprawił koszulę.

— Zrobiłem dokładnie tak, jak nas uczyłaś, matko — pomodliłem się do Pana, żeby przyszedł nam z pomocą.

✷

Takim to sposobem w następną niedzielę, dzięki łasce Boga, którego ścieżki są dla nas niezbadane, Madeleine Le Jongleur położyła na dłoni pana Boniface'a niesłychaną sumę pieniędzy, która miała zapewnić jej na jakiś czas lokum przewidziane dla robotników pałacu w Wersalu. Mieszkaniem okazała się buda ze źle ociosanych desek. Anselme Boniface, wiejski chłop, wysoki tłuścioch z czarnymi włosami, grubymi wargami i chytrym wzrokiem, chełpiący się tytułem podmajstrzego pana Colberta, z krzywą miną przyjrzał się stosikowi monet.

— To wszystko? Masz tupet, kobieto! Cena za dach nad głową z tej strony bagien to dwa liwry tygodniowo, płatne co piętnaście dni, w pierwszym miesiącu z góry.

— Osiem liwrów za taki chlew?

— Z drugiej strony bagien jest taniej, ale wszyscy tam

zdychają, szczególnie dzieci. Możesz się przekonać.

— Na przedmieściach Paryża świnie mają lepsze warunki!

— No to wracaj tam. Tutaj nie brak rąk do pracy. Największy plac budowy we Francji przyciąga tłumy ludzi, przyjeżdżają z Normandii, Bretanii, nawet z Langwedocji. Jeśli buda ci się nie podoba, twój mąż może ją naprawić. Gdzie on jest?

— Jestem wdową.

— Masz pecha.

Boniface wyciągnął łapsko ogromne jak micha.

— Taka jest taryfa, pałace powstają za dobre pieniądze. Jeśli chcesz tu mieszkać ze swoimi sierotami, płać. Osiem liwrów.

— A za co kupię im chleb?

— Za co? Zaraz ci pokażę!

Boniface przyparł Madeleine do ogrodzenia i wolną ręką uszczypnął ją w pośladek. Łatwo byłoby zadowolić tego wiejskiego byka, wystarczyłoby wystawić tyłek i ruszać nim rytmicznie. Madeleine kochała tylko jednego mężczyznę, ojca Pierre'a, ale miała do czynienia z wieloma innymi i wiedziała, jak przyspieszyć ich rozkosz. Ten tutaj nie oczekiwał od niej niczego innego niż wszystkie samce, mruczał z pożądania i ślinił jej kark. Tak, byłoby to proste i bez wątpienia szybko by poszło... Ona jednak tego nie chciała. Już nigdy więcej. Postanowiła, że po przybyciu do Wersalu zacznie nowe życie. Musi być czysta. Przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Zesztywniała i próbowała się wyrwać.

— Zostaw mnie!

Boniface kolanem zmuszał ją do rozłożenia nóg. Ścisnął jej sutek. Madeleine zawyła z bólu. Boniface napierał całym swoim ciężarem, podniósł jej spódnicę i szykował się, by ją zgwałcić, kiedy czyjaś silna dłoń złapała go za pasek i odciągnęła do tyłu. Rozwścieczony, odwrócił się raptownie. Mężczyzna, którego ujrzał, miał najwyżej dwadzieścia lat, włosy i oczy rude, sylwetkę galernika i złamany nos, lecz twarz o regularnych rysach. Obok niego stał chłopak z

kręconymi włosami, twarzą aniołka, ale oczyma ciemnymi jak ołów, ze zwierzątkiem przypominającym wiewiórkę uczepionym jego szyi. Obaj wpatrywali się w czerwoną, nabrzmiałą męskość Boniface'a, którą ten usiłował schować. Kędzierzawy chłopak odezwał się obojętnym tonem:

— Robi wrażenie. Dziękujemy za powitanie.

Boniface zamachnął się łapskami przypominającymi kijanki do prania pościeli. Nie zdążył jednak uderzyć, gdyż w tym momencie opadł na kolana, trzęsąc się jak galareta i usiłując uwolnić się od bestii, która skoczyła mu do gardła.

— Jezus!

Fretka, żądna krwi, próbowała pazurami i zębami rozszarpać mu tętnicę.

— Jezus!

Batiste złapał fretkę i trzymając ją za ogon, machał nią przed nosem Boniface'a, który z jękiem obmacywał szyję.

— Nie wolno pożądać cudzej żony ani matki. Nie wiedziałeś? No to już wiesz.

Madeleine zniknęła i za chwilę wróciła z garnuszkiem maści na ugryzienia pijawek. Nie dając Boniface'owi czasu na protesty, posmarowała grubą warstwą tłustej maści miejsca ukąszenia, następnie zdjęła szmaty ze swoich łydek i owinęła nimi rany, ściskając tak, aby wyszła z nich krew, i uważając jednocześnie, żeby go nie udusić. Otumaniony podmajstrzy pozwolił się smarować i opatrywać jak małe dziecko. Madeleine zebrała monety, które wypadły na piasek, i pomogła mu się podnieść. Cofnąwszy się nieco, wskazała na dwóch chłopców.

— Pierre. Batiste. Moi synowie.

Boniface splunął na ziemię.

— Módl się za nich.

Madeleine wyjęła sakiewkę schowaną na piersiach, wysypała całą jej zawartość i wręczyła podmajstrzemu.

— To za miesiąc z góry. I na doktora, jeśli trzeba będzie zmienić opatrunek — powiedziała, po czym dodała dumnie: — I proszę zostawić nas w spokoju.

Boniface schował pieniądze i wyciągnął palec wskazujący

w kolorze łupiny orzecha włoskiego.

— Dawaj tę bestię.

Batiste tylko się uśmiechnął.

— Weź ją sam.

Boniface zawahał się. Bracia przypatrywali mu się. Spoglądała na niego Madeleine. Spoglądał na niego również Jezus, uczepiony ubrania swojego pana.

Boniface splunął ponownie, tym razem prosto pod nogi Batiste'a.

— Jak sobie chcesz, gnojku. Obedrę cię ze skóry.

Kiedy Boniface odszedł, Madeleine wymierzyła siarczysty policzek młodszemu synowi.

— Przez tego twojego szczura mogliby nas powiesić! Powiesić! Wszystkich troje! A wiesz, co by się stało z Blanche?

Wyskakując jak chochlik ze stosu zwiędłych liści, dziewczynka podbiegła do Batiste'a i objęła go w pasie.

— Stałabym się taka jak Batiste! Hańbą rodziny!

Batiste wybuchnął śmiechem i pociągnął ją za brązowe warkocze, które wysunęły się spod czepka. Madeleine chwyciła za ucho przyszłą karmelitankę, która wykręcała się jak piskorz.

— Proś śpiewem o przebaczenie!

— Mamo...

— Śpiewaj!

— Nie tutaj...

— Boga można obrazić wszędzie. I mnie także! Śpiewaj!

Głosem zadziwiająco poważnym i silnym dziewczynka zaintonowała pieśń *Lacrimosa*, której Madeleine i Pierre słuchali w skupieniu, podczas gdy Batiste drapał po grzbiecie Jezusa, myśląc o swoim niedawnym, pierwszym i ostatnim spotkaniu z proboszczem kościoła Saint-Marcel w zakrystii, gdzie osiemnaście lat temu jego matka rodziła, pobita i obrzucona obelgami. Duchowny przyjął go, nie pytając o jego imię ani powód wizyty. Właśnie skończył odprawiać wieczorną mszę i przebierał się. Ministranci odeszli już do budynku opactwa. Na pierwszy rzut oka Batiste uznał, że to piękny mężczyzna. Jednak po chwili dojrzał pychę w jego twarzy,

oschłość w sercu i podłość. Powiedział, z czym tu przyszedł. Cztery, pięć zdań, nie więcej. Proboszcz Philippeaux odpowiedział jednym słowem. Batiste podszedł do niego bliżej, poczuł zapach kadzidła i potu. Powtórzył swoje pytanie. Nie podnosząc oczu, opat kazał mu się wynosić, bo inaczej poszczuje go psami. Batiste skłonił się, wyszedł, ukrył się w niskich gałęziach starego figowca, który rósł przy samym kościele, i czekał. Cierpliwie. Nawet zasnął i śnił o kobiecie z trzema piersiami. Kiedy się obudził, we wszystkich oknach opactwa było ciemno. Wiał porywisty wiatr i gruba warstwa chmur zakrywała księżyc. Wyszarpnął jeden z witraży w zakrystii, wspiął się i wrzucił do środka dwie wiązki siana zabrane ze stajni. Jedną położył pod drzwi prowadzące do kościoła, drugą rozsypał wzdłuż gzymsów. Z wielkiego dębowego kufra wybrał najbogatsze stuły, włożył do swojej torby biskupie kapy i cenne przedmioty. Podpalił suche siano płomieniem świecy z tabernakulum. Działał z precyzją automatu i głową tak pustą, że uciekając po wykonaniu tego, co zaplanował, zapomniał o fretce. I chociaż wszystko mu się udało, tego nie mógł sobie wybaczyć. Przyszły mu do głowy słowa zdemoralizowanego biskupa: „Każdy ma swój rozum, prawda?". W duchu Batiste rzekł: „Amen" i zabrał się do rozładowania wózka.

— Jeśli chce pan wody, chętnie panu dam.

Stojąca obok wózka bosa młoda kobieta o nieśmiałym spojrzeniu podała mu dzbanek. Takie dziewczyny, panie, spotykałeś, kiedy w dzieciństwie z rozkazu twojego ojca prowadzono cię przez pomieszczenia kuchenne aż do piwnic, by wyleczyć cię ze strachu przed szczurami. Dziewczyny bardzo zajęte i milczące, dźwigające na ramionach kosze i misy, odwracały się, gdy przechodziłeś, i przesyłały ci, panie, pocałunki, marząc, że ich mąż spłodzi synka tak ślicznego jak ty. Dziewczyna, która podawała dzbanek z wodą, była tak tęga, że spódnica opinała się jej na udach i można się było domyślić, że nie nosiła ani majtek, ani halki. Na jej fartuchu widać było brązowe smugi. Miała czerwone ręce, skórę

upstrzoną piegami, uczesanie wieśniaczki. Batiste podszedł do niej. Woda była ciepła, o lekko grzybowym smaku. Kiedy obcierał usta, dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

— Ja też miałam kłopoty z Boniface'em. I omal nie straciłam męża. Dwa razy. Przez biegunki. Nie wolno nigdy pić wody z bagna, a my o tym nie wiedzieliśmy. Teraz Benoît bierze wodę w nocy z fontanny pałacowej. Nie ma do tego prawa, zresztą nie ma się tu prawa do niczego — uschłe drzewo, wiewiórki, kosy, wszystko jest własnością króla, poza deszczem. Nasza lepianka to ta z płaskim dachem, tam dalej. Kiedy będzie pan chciał pić... — Opuściła wzrok. — Zazwyczaj każdy tutaj radzi sobie sam, ale ja lubię pomagać innym.

Batiste stał o krok od niej. Spoglądał na nią. Ona jeszcze niczego się nie domyślała. Podniosła oczy, miała grube jasne rzęsy i okrągłą twarz, która wyglądała jakby narysowano ją dziecięcą ręką.

— Mam na imię Mathilde.

Mathilde skubała drób dla królowej Marii Teresy, żony króla, nazywanej Hiszpańską, ponieważ jej damy do towarzystwa i psy były tak samo ograniczone i źle wymawiała: *cétté poute*, ordynarne określenie mademoiselle de La Vallière, kochanki swojego męża, i sama o każdej porze raczyła się gorącą czekoladą. Kiedy król bawił w pałacu ze swoją rodziną, co się nie zdarzało częściej niż dwa razy w miesiącu, bo głównie przebywał w Luwrze lub w Saint-Germain, Mathilde skubała co najmniej piętnaście kurcząt, bażantów, gęsi, kaczek, perliczek na każdy posiłek, ponadto przepiórki, ortolany, drozdy i gołębie grzywacze, gdy był na nie sezon. Małej Blanche, która chciała wiedzieć wszystko i o wszystkim, Mathilde wyjaśniła, że Wersal to nie pałac, lecz Dziedziniec Cudów i burdel. Blanche wiedziała, co to Dziedziniec Cudów, mieszkał tam ojciec chrzestny Batiste'a, poszła tam raz bawić się z dziećmi, które on przysposabiał do żebractwa. Nie wiedziała natomiast, co to takiego burdel. Przy ognisku z torfu i suchych liści, po pierwszej kolacji, podczas której razem z nowo przybyłymi jadła zupę z rzęsy wodnej mocno śmierdzącą

błotem, Mathilde opowiadała:

— Królowa Maria Teresa ma jasne włosy, jest gruba i głupia. Kocha bardzo króla, swojego męża, który jest także jej stryjecznym kuzynem. Król poślubił ją ze względu na rację stanu, gorliwie stara się, by zaszła w ciążę, i tak samo gorliwie ją zdradza. Od trzech lat, pomimo okrzyków oburzenia, których nie szczędzi mu królowa matka, afiszuje się z Louise de La Vallière, szczupłą i naiwną blondynką, żeby ukryć, że swawoli z Henriettą Angielską, żoną swego brata, która jest wątłą, bystrą brunetką. Filip, książę Orleanu, brat króla, swawoli ze swojej strony z kawalerem de Lorraine'em. Kawaler ten to demon w skórze anioła, ma dwadzieścia lat, a zdążył już się przespać z połową dam i szlachetnych panów dworu. Brat króla szaleje za swoim kawalerem, ale tak samo szaleje za swoją żoną. Jest bardzo zazdrosny. Molier powiedział w jednej ze swoich komedii, że dzielenie się z Jowiszem nie okrywa nikogo hańbą, ale Monsieur skarży się tak głośno, że wszyscy wiedzą o jego nieszczęściu i dobrze poinformowani ludzie porównują rodzinę królewską do zgrai psów w okresie rui...

Blanche pociągnęła Mathilde za rękaw.

— Kochasz króla?

Na policzkach Mathilde pojawił się rumieniec.

— Oczywiście, że go kocham. Jest młody, jest najpiękniejszym z mężczyzn i jest moim królem.

— Jak młody i piękny? Jak Batiste? Jak Pierre?

— Ach, nie! Ma błyszczące włosy i kiedy patrzy się na niego z daleka, wygląda jak posąg.

— Widziałaś go? Czy cię zna?

— Naturalnie, że go widziałam. Każdy może go zobaczyć, wystarczy stanąć na pierwszym dziedzińcu, kiedy jedzie jego kareta, albo śledzić go stąd, kiedy wizytuje plac budowy czy wraca z polowania. Widziałam go dziesiątki razy, ale on nigdy mnie nie zauważył. Przychodzi do pomieszczeń kuchennych tylko po to, żeby poznać najlepszy sposób zapobiegania psuciu się mięsa lub ustalić, jak to zrobić, żeby gotowane dania, które trzeba przenosić przez główny dziedziniec pałacu, a następnie

przez wiele komnat, dotarły na stół gorące. Gdybym skonstruowała maszynę do wyrywania piór, może zapytałby o moje imię, lubi bowiem wynalazki i czasami każe przedstawić sobie ich autorów. Ja jednak jestem nikim i nawet gdybym pojawiła się naga na jego drodze, nie zwróciłby na mnie uwagi.

Batiste zaśmiał się drwiąco i powiedział:

— To, że jest królem, nie przeszkadza mu być mężczyzną. Zostawiłby cię w twoim nic nieznaczącym świecie, ale najpierw by się z tobą zabawił.

Madeleine wymierzyła mu policzek.

— Nie mówi się tak o królu! Król nie jest zwykłym człowiekiem.

— Naprawdę? Rozebrałaś go? Co ma takiego, czego my nie mamy?

— Urodził się, żeby postępować jak król, i właśnie to robi! Namaszczono go świętym krzyżmem, jest reprezentantem Boga i ma władać tym krajem!

— Czy to znaczy, że na rachunek Boga może sobie brać kochankę, której robi dziecko, i w tym samym czasie sypiać z własną żoną, żeby ukryć, że zagląda pod spódnicę bratowej?

Jednym kuksańcem Madeleine pchnęła Batiste'a w stronę ogniska.

— Za takie bluźnierstwa będziesz smażył się w piekle!

— Nie martw się, przygotowuję się do tego.

— Idź spać w lesie, to cię nauczy szanować kogo trzeba!

Batiste zagwizdał na fretkę i skłonił się, przyklękając na jedno kolano.

— Dzięki, moja droga matko. Tobie też życzę spokojnej nocy.

Kilka godzin później, kiedy księżyc sięgnął wierzchołków drzew, Batiste bezszmerowo otworzył drzwi sąsiedniej lepianki. Gromkie chrapanie niosło się aż pod dach ze ściętych gałęzi, duchota panująca wewnątrz tej nory zatykała gardło, białawe promienie przedostające się przez szpary w ścianach oświetlały dwie postacie leżące na zgniłej trawie pokrywającej klepisko. Batiste nachylił się nad mniejszą postacią i dotknął

okrywającego ją płótna. Mathilde uniosła się. Gość zasłonił ręką jej usta. Uśmiechnęła się do niego. Odsunęła się ostrożnie od męża, który, czknąwszy, odwrócił się na drugi bok i ponownie zaczął chrapać, jakby chciał zwołać sabat czarownic. Batiste rozwiązał pasek. Mathilde, szybko oddychając i drżąc z lekka, dała mu znak, żeby się zbliżył. Zdjęła koszulę, jej białe ciało było miękkie, upstrzone piegami, które tworzyły maluśkie archipelagi wysp na jej nogach i plecach. Batiste był spragniony, a ona chętnie go zaspokajała. Rozkoszował się jej smakiem bez pośpiechu. A ona mruczała i naciągnęła na nich szerokie prześcieradło.

✷

Nie, panie, nie będę ci opowiadał szczegółów rozmowy, którą prowadzili przytuleni do siebie ten chłopak i ta rudowłosa dziewczyna. Znam cię, podnieciłbyś się tylko niepotrzebnie. W twoim wieku tego rodzaju emocje wywołują gorączkę, która wyczerpuje mężczyznę w takim samym stopniu jak przystawienie wygłodniałych pijawek. Musisz zapanować nad tą gorączką, bo żeby podążać w moim towarzystwie, potrzebny ci jest jasny umysł i prawidłowy osąd.

Czy ja, pisząc, że nie chcę cię opuścić, chociaż cię opuszczam, mam jasny umysł i prawidłowy osąd? Czy doszedłszy do tego wieku, jaki mam, udało mi się poskromić moje emocje, moje porywy?

Kiedy myślę o tym, co przeżyłem, wydaje mi się, że tak. Kiedy myślę o tym, co jeszcze przeżyję, jestem pewien, że jest przeciwnie.

Wypij, Charles, swoje lekarstwo. Znajdziesz brązową fiolkę w szufladzie nocnego stolika. Kazałem ci przyrzec, byś nikogo nie obdarzał zaufaniem, i powtarzam jeszcze raz, żebyś w ogromnym zamęcie, jaki cię czeka, liczył tylko na siebie samego. Dziesięć kropel. Dodaj trochę cukru, nie poczujesz goryczy.

Jutro wieczorem, kiedy się znowu spotkamy, opowiem ci o goryczy.

I o zaufaniu.
I o tym, jak ulatuje niejedno życie.